№ 15.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Naglowic.

ROK 1844. Poznań, dnia 17. Lipca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedplata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

W Gazecie pruskiéj czytaliśmy niedawno opis naszych kontraktów świętojańskich. Była tam wzięta głównie strona zewnętrzna, a mianowicie przedstawiono obraz, jak po ulicach uwijają się prześliczne, a najczęściéj czterokonne powozy, jak przy rogach ulic trzeba mieć nogi posłuszne i silne, aby ujść niebezpieczeństwa. Potém wzmianka o wyścigach konnych i tym podobnych mniejszéj wagi rzeczach.

Niewątpliwie, że i w tém wszystkiém objawia się pewien postęp, choć tylko możnaby powiedzieć, w sposób ujemny; znika bowiem coraz bardziéj próżność, a na jéj miejsce wybija się pewna rzeczywistość. My jednak z prawdziwą pociechą oglądaliśmy się wcale w inną stronę. Walne zebranie członków Towarzystwa naukowéj pomocy udowodniło, że obywatele nasi z zapałem i poświęceniem czynią wszystko, co tylko oświatę w kraju rozprzestrzenić może, że bogatszy mając na względzie dobro ogólne stara się o uboższego. Obrana nowa Dyrekcya z ludzi pracowitych, jakkolwiek różnych odcieniów, ale jednakowym duchem postępu tchnących, jest rękojmią, że usiłowania i życzenia Towarzystwa będą zamienione w czyn i wnikną w życie. Jesteśmy przekonani, że pierwsze dziesięć lat dostawią nam znaczną liczbę ludzi talentem i nauką znakomitych, którzy staną się, że tak powiemy, wielkim kapitałem narodowym, bo duchowym, który inne kapitały wywołać i z niczego potworzyć potrafi. Dla domów ochrony zebrano znowu fundusz przez ciągnięcie loteryi na rzeczy w tym celu ofiarowane.

Dochodzą nas wiadomości, że i po prowincyi domy ochrony powstawać i rozwijać się zaczynają. Jednéj z Polek, która na ziemię ojczystą wróciła, miasto Szrem zawdzięcza już urządzenie takiego domu na wzór poznański. Pisma dzienne donoszą o tworzącéj się szkole agronomicznéj z funduszów także składkowych. Wiele drobniejszych owców przyniosła podczas zjazdu świętojańskiego dobroczynność obywatelska, o których wiadomości zasięgnąć trudno.

Spotykały nieraz Wielkopolanów zarzuty, że tylko w słowach są wielkimi ludźmi. Może być, że słowem przesadzają czyny, ale trzebaby być niezmiernie niesprawiedliwym, aby nie przyznać, że ich czyny są nie bez zalety i znakomite, a przynajmniéj do dobra ogólnego zmierzające. Uderza i to niezmiernie, że nie są teraz, jak to bywało dawniéj, pewném naśladownictwem cudzoziemczyzny, ale się rozwijają z pierwiastku czysto-narodowego, i w sposób sobie tylko właściwy i oryginalny. Prawda, że Poznań ma do tego więcéj sposobności jak którekolwiek inne miasto polskie, ale trzeba mu przyznać, że jéj należycie użyć umie. W tych dążnościach do wspólnego celu rozwinęła się u nas kłótnia pomiędzy pismami Orędownikiem, a Rokiem o używanie wyrazu „stan średni.“ Orędownik ludzi zajmujących się oświatą i przemysłem nazywał stanem średnim, Rok mu wykazał, że stany przeminęły ze średniemi wiekami: rycerz był stan pierwszy, chłop jego niewolnik, a we środku tkwiał między nimi mieszczanin, stan średni. Dziś nie ma rycerza, ale tylko szlachcić, zabytek przeszłości, który przy podpisie w niemieckim języku von może kłaśdź przed nazwiskiem. Chłop nie jest niewolnik; mieszkaniec zamku, wsi, miasta, równie się do oświaty przykłada, równie się przemysłem

trudni, każdy podług położenia majątkowego, zamek, kamienicę lub chatę kupować i posiadać może. Są więc tylko wspomnienia stanów, i stąd stanu średniego, pomimo największéj pracy odszukać niemożna. Gdyby takiemu stanowi jak opisuje Orędownik, dzisiaj miano dawać nazwisko, przypadłoby mu niewątpliwie „stan najwyższy.“

Pieśń smutku.

(OBRAZEK.)

A my poeci — och wielcy poeci
Chociaż bez rymów — bo nam życie leci
Szlachetną myślą i niebezpieczeństwem,
Szlachetnym czynem jednym i męczeństwem.

* * *

Do mnie, do mnie moje marzenia! do mnie sny tęczowe fantazyi; zwiśnijcie nademną wy rajskie urocze postaci, rozwińcie białe skrzydła wasze jako chorągwie przyszłości, jako migające brzaski, lepszych poranków wykochanych całym żarem serca, wyczerpanych tylu wiekami męczeństw, a jeszcze nienadeszłych! O moje sny żeglujcie jako stado żurawi ciągnących, o świcie na wiosnę wysoko, cicho, w milczeniu, o żeglujcie ku ojczystéj stronie, i uściśnijcie tam wszystkich, wszystko co o mnie niezapomniało. Lećcie marzenia moje! a gdy w całéj przestronnéj ziemi nikogo nieznajdziecie, ktoby spomniał czule o mnie, powróćcie i dajcie mi świadectwo, ażali mi zadrgnie konwulsyjnym bólem serce, ażali będąc cały miłością, nietrafię być żelaznym, i wszystkiéj rzewności ażali nieodepchnę, i wszelkiego smutku i tęsknicy, abym wylany cały na służbę świętéj wyższéj myśli, mógł bez przerwy, tylko dla niéj żyć. O lećcie marzenia moje! Co mnie tam bóle wszystkie! co mnie myśl, że sam jestem wśród wszystkich ludzi od nikogo niekochany! Co mi tam, że własne serce pęka! Ja społeczności chcę służyć wszystkiemi siłami, ja naród czczę i jemu swą myśl każdą, swój czyn każdy święcę! Ja jestem samą miłością w obliczu narodu, mnie tylko o niego chodzi. Co ze mną się dzieje! czy ja cierpię czy nie! — co mi tam!

Dnieje nad ziemią. Chłop się zbudził biedny: ten sen twardy, który mu zawarł powieki i z niemi pamięć boleści, uleciał daleko od niego; rzeczywistość naga, straszna, codziennie jednostajna, stanęła przed nim, i zanim się rozbudzi chwyta jego myśl, chce mu ją wyszarpać z głowy, chwyta serce, rozdziera je, zwrotem do przyszłości ciągle mu szepce: „cała wieczność dla ciebie taką będzie, jak każdy twój dzień“ — a on jeszcze nie owaryował!! — i wstaje do codziennéj roboty, ze sercem rozpływającém się w boleści, ze słowem miłości na uściech; on, coby wszystkich mógł nienawidzić, on, którego nikt nie miłuje, a każdy dręczy! Zbudził się ze smutném sercem chłop biedny, a z wesołém skowronek polny — i buja sobie wolny, śpiewem żyjąc i w niebo spoziera czyste, podlatuje, spada, szczęśliwy! swobodny!

Ale marzenia moje i skowronka i wieśniaka pominą — one gdzie indziéj wzlatują.

I.

Widzę jakieś lesiste pagórki, staczają się w ciasną ciernistą dolinkę; trzech ludzi, w ubiorach jakby strzeleckich, twarzy pięknych a smutnych, wzroku czystego jako niebo błękitne, widzę ich, siedzą, spozierają w fale strumyka i milczą ponuro. Snać anioł przeleciał po nad nimi, snać witają go milczeniem, bo nie ma w ludzkiéj mowie słów zdolnych do oddania uczuć, któremi posłannika przyszłości wita serce prawe. — O tak, przeleciał nad nimi anioł, i to niejeden, więc długo milczeli.

Pierwszy, wysoki był, złote włosy w długich ze skroni spływały mu splotach, a skrzydła śnieżne rozwinął jako proporczyk biały, powiewający ku niebu. I szaty miał jakby z gwiazd utkane, i wzrok miał jakby dwie krople z błękitu nieba Bóg oderwał i w nich anioła duszy przeglądać się kazał. Na jego czole, nie gwiazd ani promieni wieniec się zaplatał, ale skromnych białych kwiatków, kwiatków czystości — lilij, i w prawicy trzymał lilię białą, a lewicą wskazywał ku niebu. Jego oblicze spokojne było, i na uściech osiadł uśmiech, do którego chyba podobny cichy a tak pełen szczęścia jak uśmiech dziewicy, gdy pomyśli o kochanku, — uśmiech młodzieńca, gdy myśli o przyszłości ojczyzny. Przeleciał anioł ten nad trzema mężami i rzekł im:

— Zaprawdę powiadam wam, jesteście czyści i niewinni jako gołębice, a przyszłość wasza świetna, bo nie siebie miłujecie, lecz ojczyznę waszę.

Bóg wie, co uczyni!! Więc rąk nie opuszczajcie w boleści i żalu! Oto wasi bracia upadną, oto cierpieć będziecie, i wołać: „Panie! Panie! ulituj się nad nami!“ — ale bądźcie dobréj myśli i dusza wasza niechaj będzie niesytą boleści i miłości, a przyszłość waszą....

I przeleciał zwiastun Bożéj myśli, a drugi płynął od nieba.

A był ten drugi anioł innym z postaci. Wzrok miał ognisty. Jako węgiel rozżarzony paliły się źrenice jego, kruczy miał włos, a bez wieńca był i czoło zasępione miał jako chmurę, a włosy w około wiły się jako gromy. W około jego czoła była jasność czerwona, jako krew, i oblicze jego smutny miało wyraz, a skrzydła jego białe były, lecz zdawały się krwistszemi od łuny, i szaty jego białe były, lecz pasy miały z błyskawic, a w prawéj miał miecz wzniesiony ku niebu, a w lewicy czerwoną chorągiew, na grę wiatrów rozpuszczoną, na któréj ognistemi głoski wypisane było: „za nas i za was!“

Anioł przeleciał nad trzema mężami, a głos jego był jako trąba archanioła, co ma kiedyś wszystkie groby jednym owym roztworzyć dźwiękiem!

— Zaprawdę, rzekł im, jesteście żelaznymi i pozostańcie niemi! Każdy z was samą jest miłością, lecz i żelazną wolą! I miłość śmierć niesie, gdy tego potrzeba. Zaprawdę, niech waszém hasłem pozostanie: miłość i wola mężka!

— A zanim cudzego człowieka będziecie chrzcić, ochrzcijcie siebie, aby w was nic złego nie było! bo siła złego obcym wybaczoną będzie, ale wam wybranym jakżeby mógł Bóg przebaczać, wam, co macie przodkować wszystkim!

I przeleciał ten anioł, a nadciągnął trzeci — i był on piękniejszym nad dwóch poprzednich, był on jako ojczyzna, tak piękny, tak bolejący, tak ukochany! — I nic słowem nie powiedział, ale ileż mówił wzrokiem! Jego skrzydła tęczowemi powleczone blaski, jego dłonie z porwanemi łańcuchy, jego czoło spokojem jaśniało i burzą, bo w każdéj zmarszcze widać było kipiący uniesienia grom, a w całości błogość wiary w przyszłość, pewność przeświadczenia o przyszłości. — I przeleciał, a po nim pozostał tylko jeden dźwięk: miłość, miłość bez miary i końca! a dźwięk ten niepełniejszymże od wszystkich dźwięków całego wszechświata?

I jeszcze wielu przeleciało aniołów, a każdy innéj barwy i postaci, a każden inną myśl pozostawił w duszach milczących trzech mężów, ale żadnego nie było, któryby równym stał się aniołowi trzeciemu, i pełnią większą serce i życiem wyższém ducha przejął.

* * *

Nagle zerwali się wszyscy trzej, bo coś zaszeleściało w pobliżu. — „Januszu!“ zawołał najstarszy — „w pogoń!“

— Milczenie! krzyknął Władysław — zdaje mi się, że to nie był ruch człowieka.

Ale Janusz już powracał z pobliskiéj zarośli i rzucając się obok towarzyszów, spojrzał smutnie w fale strumyka.

— To ten waryat! żal mi biedaka! rzekł pytającego zaspokajając Henryka — ten biedny snać przebiegł około nas, bo go dojrzałem w kępie drzew tamtych. Zwaryował, stęskniony za ojczyzną.

— Nie wiem nic o nim. Któż on? pytał Władysław.

— Ha! czyż ja wiem, kto on? On sam tego nie wie, ani nikt z okolicy. Dziwna postać tego młodzieńca, jak duch przesuwa się po nad każdą chatą, szaleje, płacze, śpiewa. Był on dawniéj podobno z tych stron.

Ledwie domawiał tych słów, usłyszeli jakiś jęk.

— To śpiew waryata. O słuchajcie, głosy coraz wyraźniejsze, coraz bardziéj akcentowane, — słuchajcie, nuta już brzmi pełna, smutna.

Wreszcie usłyszeli dość wyraźnie słowa w śpiewie:

W wonnym sadzie mojéj matki
  Kwitły bzy, powoje, róże,
Polne maki i bławatki,
  I lilije — kwiatów stróże!

Słowik dla nich śpiewał, jęczał
  Najpiękniejsze swoje pieśnie;
Wiatr szeleścił, strumień brzęczał,
  Pół na jawie, na pół we śnie.

Jam w dziecinnych moich latach,
  Z niebieskiemi snami w sercu,
Biegał skocznie po tych kwiatach,
  Na jedwabnym traw kobiercu.

Dziś tułactwa twarde drogi
  I los gorzki w poniewierce,
Poraniły moje nogi,
  Zakrwawiły moje serce.

A tam jeszcze dzisiaj może
  Kwitną maki i bławatki,
I piękniejsze od nich róże,
  W wonnym sadzie mojéj matki.

Umilkł śpiew, ale jego nuta taka tęskna, tak pełna boleści, dźwięczała długo w sercach trzech przyjaciół.

I znowu milczeli.

Po chwili odezwał się Henryk.

— Ja nielubię takiéj żałości. Wygnaniec, tułacz i tęsknota? A gdzież męska siła w zniesieniu boleści?

— Ach, pochwycił Janusz — jesteś za ostry w zdaniu twojém. Nie każdy stworzon jest mężem, są duchy mogące tylko marzyć, śpiewać, i czemuż im bronić tego, do czego jedynie są zdolne? czemuż

od nich żądać tego czego dać niemogą? Mąż żelaznéj woli, rzeczywistéj miłości, wyższym bezwątpienia, od anioła rajskich marzeń, ale ten tak pięknym jest w swéj boleści, i smutku swoim, za potęgę woli, daje nam takie nieprzejrzane morze żałości, że mu wybaczyć możem, że go pokochać nawet godzi się.

Wybaczyć! pokochać! o, jak to chrome myśli. I komuż to wybaczyć można, co całą duszą nieukochał narodu? i komuż to wybaczyć, co płacze, tęskni, kocha siebie, nie żyje, nie pała dla narodu. A jeśli kto niezdolen wzbić się tak wysoko, jak powinien mąż czynu!

Niezdolen? wola silna, niczém nieprzełamana wola Janusza, a wszystko ze siebie uczynić może. Ha! kto nie kocha, ten niemoże mieć woli kochać, kto niechce, ten niemoże mieć woli chcieć, ale takiemu co chce, który kocha, cóż jest niepodobnego, jakichże to on nieprzełamie zawad?! Niezdolen? a dla czego nasi święci męczennicy byli zdolnymi? Niezdoleń! a czyż to jest jaki talent kochać, kochać bez miary i granic! zatopić się w ukochaném bóstwie serca swego?

Czemuż do poezyi trzeba talentu, zdolności? Czyż życie niejest poezyą najwyższą? Czyż umiłowanie narodu, nie jest poezyą, tylko, że bez rymów poeziją w czynach? Czyż życie dla idei świętéj niejest poezyą? I czemużby jak jedni mają talent wylewać ją w rymach, bez czego nikt w ich dziedzinę niewkroczy, drudzy nie mieli talentu wylewania poezyi w czynach, bez czego nikt niezdolen jest w życiu być wielkim, bez czego będąc: snadno zamiast ukochania zatęsknić, zamiast wybuchnięcia w czynny żywot, rozpływać się w smutną łzę tęskności.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O Stowarzyszeniach.

(Ciąg dalszy.)

Towarzystwo naukowéj pomocy położyło sobie za cel, wyszukiwać z mass ludu talenta, a wynalezione wspierać, rozwijać, kształcić, i na korzyść narodu wyprowadzać. Nie może tu być mowy o geniuszach, bo te są nader rzadkie i są w téj kopalni dyamentów umysłowych, owemi soliterami bez ceny i wartości, któreby rad każdy murzyn wydostał, bo mu taki wynalazek wolność przynosi — atoli tysiące ich umrze w niewoli, i niedoczeka się takiego znalazku.

Chodzi więc i tu głównie, jedynie o wynajdywanie zdolnych dzieci. Dostateczne rozwiązanie tego pytania jest tak ważne, że inaczéj towarzystwo naukowéj pomocy, zamieni się na towarzystwo braci miłosierdzia wspomagających ubogie dzieci — uczynek zapewne chwalebny i chrześciański — ale zbyt niski w porównaniu z wyższym celem naukowéj pomocy. Pomijam socyalne i polityczne względy, które tworzy i przeobraża oświata talentów narodowych — z religijnego nawet oceniam cel towarzystwa stosunku. Możeż być co, czémby człek bardziéj uwielbił Boga, czémby bardziéj uzacnił człowieka, jak gdy w dzieciach już wydatniejsze rysy obrazu boskiego wyszukujemy, i aby w nich iskry mądrości niebieskiéj, nie przygasły rozdmuchujemy i rozniecamy, dodajemy żywiołów tego ognia świętego, aż się rozpłomieni i świecić będzie narodowi, i rozpędzać ciemności. Wielkość Boga w wielkich ludziach się objawia, a wielkich ludzi robią przyrodzone zdolności szczęśliwemi rozwinięte okolicznościami. Było jedno w massie ludu, ale drugiego nie było i liczba uzdolnionych była mała. Towarzystwo w mowie będące przydaje ludowi, czego mu niedostawało, i dla tego jest błogiem uarzędziem opatrzności.

Zdolności wszakże, to wyraz zbyt ogólny. Rozszczególnić go należy, ażeby się na nim poznać. Dyrekcya winna się zastanowić, jakie są poznaki zdolności, ażeby się niémi ci kierować mogli, którzy zdolną młodzież ku pomocy polecać mają.

W chłopcach dziesięcioletnich, zdolności nie są tak wybitne, ażeby od razu się podawały. Świadectwa nauczycieli są tu zupełnie niedostateczne. Cenzura dobra w pojedyńczych przedmiotach jeszcze nie jest dowodem talentu, jak zła cenzura nie jest dowodem jego niedostatku. Nie raz ograniczona głowa pilnością wiele dokaże szczególniéj w młodym wieku. Atoli na niewiele się to przyda, nauka staje mu się męką, a siły umysłu nie rosną proporcyonalnie z trudnościami nauk, i przy najlepszéj woli i żelaznéj pilności musi z niémi uczynić rozbrat. A jeżeli przemęczy się przez szkoły i popisy, będzie to machina społeczna, którą jak nakręcisz, tak pójdzie: mogą to być nawet ludzie praktycznie potrzebni i użyteczni, ale światło narodu z nich się nie roznieci, ani do postępu ludzkości na włos się nie przyczynią.

Znamionami zdolności, o ile się takowe już w tym wieku uczniów wykazują jest: 1) pamięć dobra; 2) żywość temperamentu; 3) uwaga zaostrzona dla przedmiotu nowego; 4) pojęcie łatwe; 5) bystrość w uważaniu rzeczy; 6) wyobrażenia sprężyste; 7) ła-

twość kombinacyi; 8) szczególny i wydatny jakiś kierunek do pewnego rodzaju ręcznego lub umysłowego zatrudnienia.

Tego wszystkiego dociec można, z danych pytań, i odpowiedzi na nie chłopca. Wszakże do takiego osądzenia potrzeba pedagogicznéj wprawy, i bystrego wzroku, który tylko zdatność i długie doświadczenie dać może.

Nie raz już zewnętrzność chłopca uderza, i uwagę ku niemu skłania. Czoło wydatne, otwarte, włos w kędziory zwijający się, blask oka żywy i wiele mówiący, profil twarzy prosty, twarz więcéj czerstwa niż pełna, w rysach coś nie dziecinnego, wzrok śmiały, głos pewny, w ogóle jakaś znamienność zaufania do siebie. — Ostrożnym jednak być trzeba w tych fizyolognomicznych poznakach. Pewniejsze one są u starszych, aniżeli u dzieci, do których teorya Galla i Purzheima najmniéj zastósować się dadzą. Łatwo więc pomylićby się tu można. Stanowczemi więc zawsze będą popisy odbywane z uczniami, i sąd na ich odpowiedziach oparty.

Ale kto ten sąd wydawać będzie! Powiedzieliśmy już, że to rzecz nie tak łatwa, i że wymaga osobnych zdatności. Dyament tylko dyamentem rznąć się daje podobnie zdolności ludzkie, choćby tylko w chłopięciu tylko przez wyższe zdolności pedagogiczne, dadzą się dokładnie ocenić. — Dotąd o młodzieży ze szkół elementarnych wychodzącéj, a towarzystwu polecanéj dawali sąd nauczyciele tychże szkółek. — Z małémi nader wyjątkami zupełnie im w téj mierze odmówić trzeba kompetencyi. Nauczyciele tacy znają pedagogią mechanicznie, ale nie posiadają, i przy niskim stopniu ukształcenia, posiadać nie mogą, pedagogicznego błysku co ducha nauki i ducha ucznia przenika. O psychologii téj głównej podstawie pedagogicznego działania, ani wyobrażenia nie mają. — Mniéj jeszcze przydatni ku wydaniu takiego sądu, członkowie komitetów, gorliwi może i światli obywatele, ale bez najmniejszego pedagogicznego doświadczenia

Utworzenie po powiatach komisarzy examinacyjnych, ku czemuby się kwalifikowali rektorowie szkół powiatowych, lub tak nazwanych rektorskich, możeby w części zaradziło téj potrzebie, gdyby tylko osoby takie chciały się tego obowiązku podjąć, i nie obrażały się, jeżeliby w wyższéj instancyi, sąd wydany o zdolnościach chłopca, został uważany za mylny.

Jedynie ku temu zdatni się professorowie gimnazyów, z pod których oka i pieczy, massami młodzież różnego usposobienia wychodzi. — Do szkół elementarnych i powiatowych, niechby więc wystarczało zdanie nauczyciela miejscowego; lecz młodzież co już do gimnazów przechodzi, koniecznie powinna być oceniona w zdolnościach swoich przez mężów fachu.

Odpadanie młodzieży, — któréj zdolności są słabe lub mierne, ze średnich klass gimnazyów, i przechodzenie do rzemiosł, jest chybionèm powołaniem. Nauki gimnazyalne są czysto uczonego zakroju, i czego się tam przez 4 lub 5 lat nauczył, będzie tak małego dla niego użytku, że byłby więcéj korzystał w połowie tego czasu, w szkole jakiéj realnéj miejskiéj. Prócz tego uczeń, który doszedł do klass średnich, już zakosztował w pożyciu z rówiennikami tego wyższego stanowiska, które dają nauki w ogólności; już mu w niesmak rzemiosło, gdzie trzeba od terminowania i niskich posług zaczynać; i jeżeli udaje się na rzemiosło, czyni to z konieczności; i zaczyna przyszłe powołanie swoje od pogardy i wstrętu od do tego powołania. Albo więc mniéj zdolnych wcale do gimnaziów oddawać nietrzeba i w braku funduszu wypuścić ich z opieki, albo gdy są fundusze, obrócić ich do rzemiosł, dając do 14. roku realne, choćby tylko w powiatowéj szkole wykształcenie. Wyższy przemysł wymaga ukończenia gimnazyum realnego, a w jego niedostatku ukończenia sekundy gimnazyalnéj.

Stokroć bardziéj znać trzeba zdolności młodzieży, która funduszami towarzystwa po uniwersytetach i wyższych instytutach ma być kształcona. Dzisiejsze świadectwa dojrzałości (testimonia maturitatis) są wprawdzie tak szczegółowe, co do czynionych postępów w naukach, co do moralności, pilności i nawet przyrodzonych zdolności ucznia, że w téj mierze już dają pewną podstawę, na któréj się Dyrekcya oprzeć może.

Atoli i tu jeszcze daje się czuć niezdatność, jak w ogóle nigdy opis tego nie daje, co samo życie. Zdanie o zdolnościach jest i tu jeszcze zbyt ogólne. Ocenienie postępów w pojedyńczych umiejętnościach najczęściéj jest rozmaite, w jednych dobre, w innych mierne, i całego obrazu nie daje. Nowy popis nie tylko byłby zbyteczny i ubliżający komissyi examinacyjnéj, ale nawet na nicby się nie przydał, bo tu sąd z całego gimnazyalnego wychowania danym być powinien.

Nie ma więc innego środka, tylko, że professorowie gimnazyum, wykładający w klassach główne przedmioty, powinni być oraz członkami towarzystwa, i pilnie przez wszystkie klassy uważać na rozwijające się zdolności młodzieży funduszem towarzystwa kształcącéj się. Przy odchodzeniu na uniwersytet nad każdym z osobna zdać powinni kolegialnie opinią:

1) w jakim głównie kierunku objawiły się jego zdolności;
2) która z władz duszy okazała się przeważającą w jego pracach i opowiedziach;
3) jakie odkrył strony moralnego swojego charakteru;
4) jaka była koléj rozwijania się jego pojęć, i jaka w ciągu tego wykształcenia się pilność;
5) jaki był stosunek jego do współuczniów i do przełożonych;
6) do jakiego zawodu najwięcéj byłby zdatny.

Takie zdanie byłoby uzupełnieniem świadectwa dojrzałości, nie byłoby też wcale uciążliwie dla professorów, albowiem przy popisach dojrzałości, każdy z docentów z osobna jest obowiązany, zdać podobny sąd o uczniu, jak mu się w całości pod moralnym i antellektualnym względem przedstawił, tylko, że sądy te nie idą do zaświadczeń, ale do akt rządowych.

Uczniowie wychodzący na uniwersytet, rzadko mają wyobrażenie przyszłego swego powołania. Zwykle ta myśl w téj dopiero chwili w nich się obudza, kiedy mają już krok ten stanowczy uczynić. Czynią go zaś na oślep, bo nie znają wcale tego pola, na którém ich naprzód czekają nauki, a potém obowiązki.

Z tego to względu rozsądny nauczyciel, znający i ucznia, i zakres każdego powołania, lepiéj ocenić może, jakiby zawód dla siebie wybrać powinien, niżeli uczeń sam. Wszelako narzucać powołania nikomu nie należy, i radzący zawsze badać i szukać powinien skłonności ucznia, i dawać mu tylko skazówki, nie rozkazy.

Z tego to względu widzimy, że nietylko nauczyciel może wydać sąd, jakeśmy pod liczbą 6) umieścili, ale zarazem widzimy uchyloną trudność dawniéj wskazaną, „że uczniowie zgłaszają się już do obranego zawodu i narzucać im go nie można.“ Zgłoszenie się takie, nie jest tak stanowcze, bo najczęściéj nie jest wyrozumowane i na żadnéj szczególnéj skłonności nie oparte. Gdzieby zaś istotnie taki zachodził przypadek, o czém sąd professorów najlepiéj zaopiniuje, w takim razie Dyrekcya uczniowi nietylko nie odradzać, ale go nawet przy zdatności w tym zawodzie popierać powinna.

(Dokończenie nastąpi.)

Korrespondencya.

Paryż, dnia 9. Lipca 1844.

Muszę ci téż powiedzieć, co się u nas dzieje. A dzieją się rzeczy bardzo zabawne — bo komedye. Mickiewicz na ostatniéj lekcyj tegorocznego kursu był nienaturalny, wymuszony, a treść mowy najdziwaczniejsza. Było przytomnych najwięcéj, co się smucili, litowali i gniewali, kiedy pan Mickiewicz pokazał nam Napoleona (oczywiście na obrazku) z płachtą u głowy przyczepioną, z rękami na karcie Europy spoczywającemi, w ogromnych bótach palonych, z oczami i twarzą wywróconą, tak iżby go nikt niepoznał, gdyby nie bóty i mundur napoleoński. Miała to być postać Napoleona, kiedy się Towiańskiemu na polach Waterloo pokazał (ma się rozumieć nie w bitwie, bo p. Towiański prochu nie lubi) i kiedy go sukcessorem swojéj missyj mianował. Tak jest, Mickiewicz w największéj exaltacyi zaręczył, że zna sukcessora Napoleońskiego i że go także jego przyjaciele znają (bracia w Towiańskim). Kończąc swoją lekcyę pan Mickiewicz, spełnił wiwat z biesiady Towiańskiego, a tak wychylił do dna kielich goryczy, jaką wspólnéj naszéj matce corocznie publicznie poświęca.

Powszechnie powiadają, że Mickiewicz już daléj kursu wykładać niebędzie, że dostanie zastępcę. Przyznam się, że podzielam radość powszechną z podobnego przypuszczenia: niewidzę bowiem nic smutniejszego dla nas, jak kiedy Polak, poeta, Mickiewicz jedném słowem, szkodzi sprawie śmiesznością, wtenczas, kiedyby jéj niezmiernie wiele oddać mógł przysługi sercem i talentem. Ale sęk niemały zachodzi na pytanie, kto będzie zastępował Mickiewicza. W tym względzie rozmaite są pogłoski: jedni mówią o jakimś professorze z Dorpatu, inni o Czechu; kilku Polaków którzy dali dowody albo francuzkiego krasomówstwa na publicznych obchodach, albo wielkiego starania w zbieraniu ciekawości biliotecznych mają także niesłychaną pretensyą ubiegania się o to miejsce.

Druga komedya odbyła się w stolicy Dżonbulów, Buldogów, Bifseków, Pleunpudingów i Splinu. Scena: — Kram krawca, — osoby: krawiec, kapitan polsko-algiersko-hiszpański, spodnie i policman w imieniu ukrytéj godności działający. Biedny kapitan; za niewinny żart, więcéj w chęci zafanfaronowania jak z chęci szkodzenia komukolwiek ze świty; ale raz wymówiwszy, musiał 24 godzin w więzieniu przesiedzieć, a potém wśród całéj fashion angielskiéj i to jeszcze na świetnym balu dla biednych Polaków danym, męczeńskiéj chwały konfortable używać. Była chwila, że pan kapitan zaćmił swoją chwałą Roberta Pila — ba, nawet Okonela.

Trzecia komedya odbywa się na wojażu i na korzyść nieszęśliwéj pretensyj de facto: poczciwy kasztelan nieszczędzi żadnych zabiegów, starań; poświęca swoją spokojność, nawet zdrowie, ażeby dopomódz

rodzinie chorującéj na koronę; powiadają, że najlepszém na taką chorobę lekarstwem jest udawać rzeczywistość; pan kasztelan używa więc tego sposobu, milionami po emigracyj rzuca, traktaty zawiera, państwa tworzy i obala, tak iż tym panom w istocie zdaje się, jakby to prawda była. Szkoda, że zdrowy rozsądek znany nigdy go nie odstępuje; wartoby bowiem lepiéj wynagrodzić humanitarność pana O.

Czwarta komedya ubrała się wdługą, czarną suknią, z głową na środku wygoloną, świeżém jeszcze farniente rzymskiém żyjącą i nazywa się zakon zmartwychwstania. Niektórzy figlarze powiedzieli, że dla tego się tak nazywa, że dla zmartwychwstania pracuje. Bałaguły niezmiarkowali się, że tak gruba farsa płazem nie ujdzie, a więc teraz o tém nic już więcéj niemówią.

Nareszcie prorocka komedya schowała się na ulicę Traversierè St. Honoré, nikogo do siebie niewpuszcza, i nikomu o sobie wiedzieć niepozwala. Szanujmy tajemnice domowe.

ROZMAITOŚCI.

Z Poznania. — „Roku 1844." wyszedł poszyt VIty i zawiera: 1) O postępach w filozoficzném pojmowaniu bytu, przez autora kilku myśli o eklektyzmie. 2) Filozofia ekonomii materyalnéj ludzkiego społeczeństwa. Częśc pierwsza. Poznań, r. 1843. 3) Włoscianin polski ze względu historycznego, statystycznego i politycznego. 4) Uwagi nad uwagami uczynionémi o stanie średnim, w Orędowniku No. 20. w r. b., przez Libelta.

U P. Działyńskiego w Korniku, znajduje się w bibliotece między innémi osobliwościami, własnoręczny romans Napoleona „Clisson i Eugenie," jakotéż plan Bonapartego, do objęcia naczelnego dowództwa nad armią sułtana.

Wielki dom bankierski w Paryżu Caccia, zawiesił przed niedawnym czasem wypłaty, czyli jedném słowem zbankrutował. Powiadają, że zanadto wdał się w spekulacye akcyjne. Głównemi ofiarami padli papież i śpiewak Tamburini. Ostatni wrócił niedawno z Petersburga i bardzo wesoły, bo z pełną kieską i kosztownemi podarunkami. Radość niedługo trwała, nie zamilczano mu straty u Caccia. Na taki cios, rzucał się jak szalony i ciągle jęczał i wołał: „o ja nieszczęśliwy, zrujnowany człowiek," i wznosił oczy do nieba. Długo jeszcze trwało to narzekanie, zanim się dowiedzieli jego przyjaciele co stracił i co mu pozostało.

„Dwakroć pięćdziesiąt tysięcy franków," zawołał nakoniec; „widzicie żem podupadł i o kiju przyjdzie mi żebrać."

„Ależ cóżkolwiek ci zostało," rzekł pocieszający go przyjaciel. „Dom w którym mieszkasz, jest twoją własnością."

„Tak," odrzekł Tamburini głosem stłumionym.

„Masz także piękny pałac."

„I to jest prawdą, ale jednak zgubiony jestem. Gdybym był téż wszystkie moje pieniądze obrócił na zakupienie pałaców, niebyłbym dzisiaj żebrakiem. O bankiery, bankiery! Wszystko dzisiaj pościągałem, co u Rotszylda złożyłem."

„Miałeś więc także u Rotszylda?"

„Miałem, a jednak biednym jestem człowiekiem."

„Czy to była mała sumka?"

„Maleńka, tylko 800,000 franków."

Ztąd okazuje się że śpiewak o przyszłość nie powinien się był obawiać, a jednak przytém obstaje, że go zubożono. Miał zamiar porzucić już teatr, ale sądząc, że teraz mu majątek nie wystarczy, jedzie napowtór do Petersburga, bo tam najwięcéj spodziewa się zarobić pieniędzy. Tak sztuka piękna, w swym nienasyconym ulubieńcu, poniżoną została.

Pewna para oblubieńców stanęła przed niedawnym czasem przed notaryuszem, aby zawrzeć ze sobą ugodę przedślubną. Narzeczony płonął z miłości i szczęścia. Ugodę napisano ku zadowoleniu wszystkich i Marya, narzeczona podpisała ją bez namysłu, tylko narzeczony, coś chwycił niepewno za pióro, napisał niezgrabny krzyżyk i powiedział, dosyć na tém. Narzeczona cofnęła się zwolna i pełna namysłu oświadczyła nagle, że swe słowo cofa. Wszyscy przytomni pytali się o przyczynę, nikomu nieodpowiedziała, wyszła i siadła na ławce przed domem. Tu znalazła ją matka i w cztery oczy zapytała o przyczynę tak nagłéj zmiany. „Mój narzeczony nie umie pisać," rzekła, „a mężczyzna niebędący w dzisiejszych czasach dosyć ukształconym, nie odpowiada bynajmniéj moim wyobrażeniom, jakie mam o mężu." Matka opowiedziała świadkom powody, narzeczony zczerwieniał i odszedł zawstydzony; ale po ośmiu dniach otrzymała Marya ślicznie napisany list, który dowiódł, że narzeczony dzień i noc uczył się pisać i tak na jéj szacunek zapracował. Wesele potém niebawem się odbyło.

W Paryżu wchodzą teraz coraz więcéj w modę zamiast soirées dansantes, matinées dansantes. Najmodniejsze domy ubiegają się o pierwszeństwo w porannych zabawach, na których prawie wyłącznie „Polkę" tańczą.

W Niemczech potworzyły się towarzystwa do odbywania wspólnych podróży. Zaledwie ukończono podróż na wspólne koszta do Londynu, tworzy się nowe towarzystwo na przejazdkę do Paryża. Na przyszły rok chcą się także z Hamburga do Nowego Jorku w Ameryce dla zabawy przejechać.

Targ na kobiety. W okręgu Bemin Socor (Maroko), kraju górzystym, znajduje się miejsce, w którém targi osobliwe w swoim rodzaju odbywają się. Targ odbywa się raz na rok; tam przybywają nieżonaci, szukając dla siebie żony, żonaci, którzy do swych żon jeszcze więcéj przydać zamyślają, podobnie panny i wdowy, co sobie życzą mężów. Kobiety same siebie sprzedają, a niechcąc, aby sprzedaż ta za handel ludźmi uchodziła, układają rzecz dosyć dowcipnie. Każda ubiera się w najpiękniejsze ubiory, które utkała sama i uszyła, nie zasłaniając sobie twarzy. Mężczyzni chodzą po targu, przypatrują się tkaninom, któremi panny i wdowy są odziane i przytém patrzą na same właścicielki. Jeżeli się która spodoba, pyta się mężczyzna, co kosztuje tkanina, a kobieta podaje cenę, według swéj chęci, czy jéj się podoba lub nie podoba targujący. Już przy tém uważaniu się o cenę, widzi mężczyzna, czy go sobie życzy lub nie, przedająca. Jeżeli się o cenę zgodzili, idzie mężczyzna do rodziców po zatwierdzenie umowy. Jeżeli przystają, natenczas publiczny pisarz spisuje ugodę, a kupiona narzeczona udaje się do domu kupującego. Wdowy zazwyczaj stoją w niskich cenach, a rozwódki przedają za bezcen swoje tkaniny. Tak kupiona kobieta, niemoże być odprzedaną, chociażby kupujący najbardziéj kupna żałował. Jest ona prawą jego małżonką i zatrzymuje dla siebie sumę podaną jako wiano małżeńskie.

MODY.

Paryż, dnia 13. Lipca 1844.

Stara moda nadaje kobietom pewną podstarzałość w wieku i dla tego wielkim jest błędem zatrzymywać w swoich ubiorach przedmioty, o których oddawna zapomniano, mimo że były dawniéj do twarzy; bo przedmioty tego rodzaju przypominają ironicznie, kiedy ta lub owa kobieta była ładną i modnie ubraną. Kobieta ukształcona powinna żyć w teraźniejszości, tak co do ubioru, jako też i smaku. Nie utrzymujemy przeto, że dawnych ubiorów unikać nam potrzeba, bo pytamy się, czyli nasze najnowsze nie powstały z wzorów dawniejszych? Im starsza moda, tém większe podobieństwo, że ją z zapomnienia wydobędą, lecz ta, co przed niedawnym czasem skonała, nie ma widoku, aby tak prędko odżyła.

Moda jest dziwna; dopóki panuje, uważana jest za najpiękniejszą, jak tylko przeszła, poniżają ją i dziwią się, jak można było uważać za piękne, co teraz śmiesznem się wydaje. Tak zawsze było i będzie. Dopiero po upływie długich czasów wznawia się upodobanie do mód dawnych.

Kształt amazońskich sukien na ranne ubranie powszechnie przyjęto. Wysoko zachodzący stanik jest gładki i od przepaski aż do brzegu powłoki ciągną się trzy rzędy srebrnych guzików; stanik jest długi z małemi połami; rękawy obcisłe, srebrnemi guzikami osadzone i mankietkami batystowemi zdobne. Ubiory te są z toiliny w zielone kratki na tle zieloném wyrobione. Do nich noszą bóciki zielone i szal długi.

Wiele pokazuje się kolorowych bareżów, cieniowanych lub jaspisowanych czerwono lub niebiesko, lub też w jasnych kolorach, jak różowo, perłowo lub zielono. Na tle takiém jednokolorowém znajdują się atłasowe białe kratki. Suknie takie noszą na małych wieczorach, na których tańczą jeszcze, lubo nie w Paryżu, to przynajmniéj na wsiach i u wód.

Tak wysoko zachodzące, jakotéż wycięte staniki mają wyłogi, ozdobione koronkami.

Kapelusze słomiane zawsze się jeszcze podobają, lecz i kapotki z lśniącego jedwabiu, jakoteż kapelusze krepowe, zdobne różami i marabutami. Na kapeluszach ryżowych najpiękniéj wyglądają kwiatki polne i łączne.

Suknie z szkockiéj tafty wyglądają bardzo dobrze na półstrój.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz krepowy z kwiatem oleandrowym. Mantylla z białego poux de soie, różowo podłożona. Suknia bareżowa.
2. Czepek z tulu iluzyjnego, z czterema bufkami z boku. Suknia z taftu kameleońskiego, z przodu wstążkami zdobna.
3. Frak sukienny, nie wycięty. Kołnierz aksamitny. Czarny krawat. Kamizelka w pasy.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*